



PUŁTUSK.

Wśród równin mazowieckich i puszczy nadnarwiańskich, w dolinie rzeki Narwi powstało niegdyś, jak podanie głosi, znaczne i zamożne miasto Tusk, lecz niszczone nieustannie najezdami dzikich hord Jadźwingów zaledwie tylko w połowie zdołało się podźwignąć z gruzów i utrzymać do dnia dzisiejszego, skąd nazwa obecnego miasta Pułtuska powstała.

Że Pułtusk jest jednym z najbardziej starożytnych grodów w naszym kraju, o tem świadczą kroniki historyczne z XIII w., wspominające o Pułtusku jako siedzibie biskupów płockich i jako ognisku umysłowym i religijnym. Świadczy również o tem i starożytna wieża ratuszowa, wzniesiona w 1405 r. przez biskupa Jerzego z Kurdwanowa na rynku pułtuskim i będąca po dziś dzień znamiennym zabytkiem przeszłości.

Dojeżdżając do Pułtuska od strony wschodniej szosą wyszkowską przez most żelazny, kilkanaście lat temu postawiony na Narwi, ma się przed sobą piękny widok miasta rozsiadłego nad brzegiem Narwi, wchodzącej w środek miasta dwoma ramionami, jakby kanałami, na których dwa żelazne mosty stanowią połączenie dzielnic miejskich.

Nadewszystko jednak rzuca się w oczy stary zamek biskupi przegładający się w kryształowych nurtach Narwi i jakby smutno zadumany nad ubiegłą przeszłością. Zamek ten zbudowany na sztucznym wzniesieniu przez biskupa Leszczyńskiego w r. 1522, obecnie zamieniono na szpital wojskowy, lecz pod grubą powłoką wapna na ścianach możnaby znaleźć niejedną dawnych czasów pamiątkę w postaci rzeźbiarlowideł, stanowiących niegdyś ozdoby zamkowe.



RATUSZ W PUŁTUSKU.

fot. ze zb. Pol. Tow. Kr.



Rozległe podziemia zamkowe podobno były bezpiecznym schroniskiem ludności pułtuskiej w czasach niszczycielskich najazdów dzikich hord, posiadając tajemne wyjścia do rzeki.

Założone w r. 1566 przez biskupa Nerokowskiego seminaryum i kollegium, gdzie wśród wielu świątłych nauczycieli znajdowali się Piotr Skarga i Jakób Wujek, ściągali do Pułtusza nawet z dalszych stron kraju liczną młodzież pragnącą nauki.

Pozostały też jeszcze dwupiętrowe gmachy po kollegium, mieszczące obecnie koszary wojskowe i dom parafialny.

Po kasacie zakonu jezuitów nauki w kollegium prowadzili dalej ks. benedyktyni według programu ówczesnych szkół publicznych, podczas zaś 207 lat istnienia kollegium pobierało w nim nauki 25,623 uczniów. Obecnie znajduje się tu gimnazjum rządowe siedmioklasowe.

Pułtusk posiadał również kilka klasztorów, o czym świadczą pozostałe po nich kościoły i gmachy, a więc reformatów — zamieniony obecnie na więzienie karne, benedyktynów — dziś gimnazjum rządowe, oraz klasztor sióstr miłosierdzia, obecnie szpital pod wezwaniem Św. Wincentego à Paulo, niosący pomoc lekarską ludności miejscowej i okolicznej pod troskliwą opieką szarytek.

Z dawnych kościołów pułtuskich pozostały jeszcze 4, oraz kaplica biskupia Św. Magdaleny, gdzie tylko raz w roku odprawia się nabożeństwo.

Kollegiata czyli kościół farny, wzniesiony w XV w. przez biskupa Pawła Giżyckiego, jest obszerną świątynią z dwiema wieżami, posiadającą wiele pamiątkowych pomników ludzi zasłużonych ojczyźnie, piękne ołtarze i stalle, ozdobione rzeźbą i malowidłami, a nadające powagę tej starożytnej świątyni.

Kościół poreformacki, znajdujący się przy więzieniu na Starem Mieście, posiada również starożytne pamiątki w ołtarzach i nagrobkach. Kościół po-benedyktyński, wybudowany w 1717 roku a zniszczony przez pożar w 1875 roku, zaledwie podźwignął się z ruiny i nic ciekawego nie przedstawia.

Poza miastem na szosie makowskiej znajduje się jeszcze kościół Św. Krzyża przy cmentarzu grzebalnym, gdzie również można spotkać nazwiska ludzi zasłużonych ojczyźnie, wyryte na głazach grobowych.

Pięknym i starannie utrzymanym zabytkiem przeszłości jest wieża ratuszowa pułtуска, wzniesiona z trwałej czerwonej cegły, czteropiętro-

wa, posiadająca przy każdej kondygnacji drewnianych schodów maleńkie pokoiki, służące niegdyś za cele więzienne. Widok z wieży na otaczającą okolicę nadnarwiańską jest bardzo malowniczy, strojny błękitną wstęgą Narwi, rozległymi lasami i łąkami zbóż, oraz łąk zielenią. To też wzrok tonie w przestrzeni, „a dумы szeroko wciąż płyną i płyną, jak niegdyś krwi wrzącej płynęły potoki, szeroko, rozgłośnie imiona tych słyną, co stali niezłomni jak groźne opoki“ — szepcze głos jakiś nieuchwytny i „Polska bije w każdym sercu“ żywo, gorąco wspomnieniami podnieconem.

Przed powstaniem dróg żelaznych Pułtusk był ważnym punktem, jako stacya pocztowa na głównej szosie z Petersburga do Warszawy i nieraz dawał chwilową gościnę ukoronowanym osobistościom: Aleksandrowi I, Napoleonowi i Mikołajowi I. Mnóstwo wspomnień i anegdot z owych czasów pozostało w pamięci starych mieszkańców Pułtusza.

Obecnie Pułtusk przedstawia się jako jedno z ładniejszych w Królestwie miast powiatowych, porządnie zabudowany i utrzymany, posiada chodniki z piaskowca, a ulice wysadzone drzewami i w znacznej liczbie skanalizowane.

Na uwagę zasługuje również nowowzniesiony gmach „Lutni Pułtuskiej“, mieszczący w sobie salę teatralną ze sceną i lożami, salę balową, biuro Kasy Przemysłowców, oraz cukiernię. Budynek ten powstał staraniem ludzi dobrej woli, mieszkańców Pułtusza, uznających potrzebę rozrywek umysłowych wyższych ponad tę, jaką dają zielone stoliki; dopomogła do tego pożyczka Kasy przemysłowców pułtuskich.

W dnie świąteczne i targowe miasto zapełnia się barwnym tłumem wieśniaków, kurpi nadnarwiańskich, należących w części do parafii pułtuskiej. Siwe sukmany mężczyzn, brązowe czarna taśmą, oraz jaskrawe pąsowozielone kiecki i fartuchy kobiet, wyszywane ich płócienne białe koszule wywołują miłe wrażenie i pociechę, że są jeszcze w naszym kraju miejscowości, gdzie lud nie zarzucił swego typowego stroju i nie zamienił go na tandetną garderobę, po jarmarkach prowincjonalnych sprzedawaną hurtownie. Okolica Pułtusza zaludniona jest przeważnie przez ludność rolnictwu oddaną, dzielącą się na właścicieli większej własności ziemskiej, folwarków i włościan, prowadzących swoją pracę rolną dawnym systemem. Dopiero zawiązujące się coraz liczniej kółka rolnicze po wsiach, zaczynają wprowadzać ulepszenia w gospodarstwach małorolnych, dążąc za postępem. Ludność tę stanowią w połowie kurpie



nadnarwiańscy, a w połowie rdzenni mazurzy, składający się z tak zwanej drobnej, zagonowej szlachty i włościan. Lud to wesoły, chętny do pracy, tańców i muzyki, a w każdej wsi niemal znajduje się domorośli muzyk, wycinający na skrzypkach dziarskie oberki i ma-

zurki, jak to określił zgasły niedawno poeta Bożydar:

„Gdzie się chata w kwiecie stroi, Piastów
toczą miód,
— już ci mazur z skrzypką stoi zaraz u tych
wrót”.

M. K.



Nałęczów dzisiejszy i jego znaczenie. ¹⁾

Pragnąłbym uzupełnić ciekawą bardzo monografię historyczną Nałęczowa, jaką w kilku numerach jesiennych r. z. „Ziemi“ dał czcigodny znawca i badacz lubelszczyzny p. Henryk Wiercieński, paru rysami Nałęczowa współczesnego, abyśmy mieli już zupełny obraz placówki cywilizacyjnej, która się z tego uroczego zakątka błogosławionej ziemi Kazimierzów i Firlejów utworzyła pocziwą wolą ludzką. Po latach rycerskiej, bujnej a dzwonnej w echa surmowe przeszłości przychodzi na ziemię pożoga upadku dziejowego, łuna likwidacji dawnego stanu majątkowego, szare widmo rozpacz i bezwładu ducha. Rzeczywistym ucieleśnieniem zwrotki mazurka Dąbrowskiego jest niezgnębiona siła mocarna wybranych jednostek narodu, która na zgliszczach i ruinach stawia budowle przyszłości, w rozwalinach feudalizmu buduje ubikacje użyteczności publicznej, z uroczyska robi uzdrowisko. To ostatnie stało się właśnie z Nałęczowem. Z uroczej siedziby starosty Wąwolnickiego Stanisława Nałęcz - Małachowskiego, w której gościli ostatni królewskiego blasku ucztownicy wraz z samym rozbawionym stale „Królem Stasiem“ powstał zakład leczniczy dla wszystkich; — herbowny pałac „zbudowany w r. 1771 — na użytek publiczny po upływie wieków oddano“. Tak głosi napis tablicy pamiątkowej. Stało się to dzięki energii trzech rzeczywiście duchem obywatelskim i inicjatywą obdarzonych jednostek, jakimi byli trzej wskrzesiciele Nałęczowa, doktorzy: Fortunat Nowicki, Konrad Chmielewski i Wacław Lasocki. Uczestnicy powstania roku 63, katorżnicy i zesłańcy, powróceni po latach tułaczki do Polski, lecz

nie w swoje pielesze (dwaj pochodzili z Wołynia, jeden ze Żmudzi) — przynieśli ze sobą kapitały niewielkie, lecz energię wielką i gorącą chęć znalezienia pola, na którym mogliby zużytkować nabyte doświadczenie zawodowe i ogólnie ludzkie. Zwrócili swoją uwagę na Nałęczów dla tego, że miejsce to miało już swoją historię jako uzdrowisko. Analizę chemiczną wody jego źródlanej już w r. 1817 robił prof. Uniw. Warsz. Chemik Celiński, wcześniej bo jeszcze w r. 1807 „kuracyi tu z ulgą używał“ dla zdrowia książę feldmarszałek Adam Czartoryski, przekładając wody te nad Bardyowskie.

Kuryer Warszawski z dn. 10 kwietnia r. 1821 pisał że „wody mineralne w Nałęczowie opatrzone zostały coraz większymi wygodami i przyjemnościami, a chcieć wspomnieć o dobroci, zaletach tych wód byłoby to powtarzać, co przykłady tysiącnymi doświadczeniami wsparte od 20 przeszło lat stwierdzają“. Z tego wniosłoby należało, że użyteczność lecznicza źródeł Nałęczowskich stwierdzenie swe posiadała już od początku XIX stulecia. Czy o tem wiedzieli wskrzesiciele, którzy — podobno — pozatem uwagę zwrócili jeszcze na obfitszą szczawę Wąwolnicką i tam chcieli uzdrowisko urządzić, nie wiemy. Młody ich zakład przez pierwsze lata istnienia przechodził okres bardzo burzliwy. Dla rozszerzenia działalności wspólnicy musieli coraz to zwiększać kapitał zakładowy, powiększać liczbę jego właścicieli. Nie wszyscy jednakowe mieli ideały: jedni chcieli Nałęczów traktować jako zwykły interes dochodowy, drudzy jako placówkę społeczną z uwzględnieniem przedewszystkiem dobra ogółu. Jedni mieli na

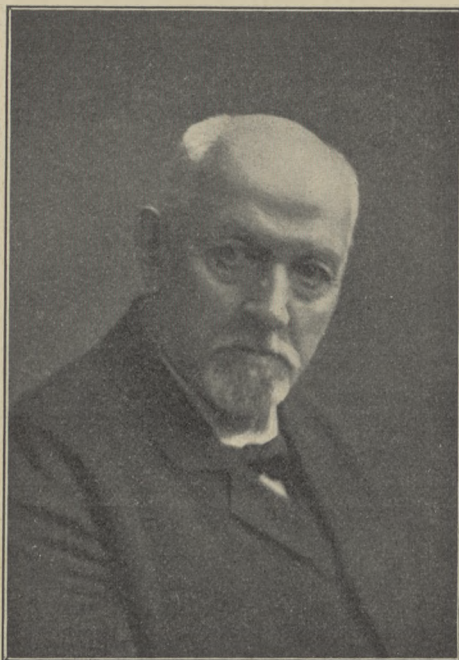


JÓZEF CELINSKI.

myśli zakład skromny, rozwijający się dopiero w miarę wzrastających dochodów, drudy pragnęli stworzyć zakład wytworny, równy zachodnio-europijskim, któryby naszej publiczności, znarowanej do wód obcych mógł skutecznie imponować i zaszczyć swojszczyznę. Skoro już zakład stanął i to pierwszorzędny, zjawiał się nowy powód do rozdwojenia w nadaniu kierunku zakładowi. Wiele osób, związanych finansowo z zakładem, a przedewszystkiem właściciele willi, obywatelstwo sąsiednie, za najlepszy uważali zjazd bogatej publiczności, która w Nałęczowie spędzała letni karnawał, obracała sobą oś karuzelu nieustających zabaw, balów, wycieczek, kolacyi, utwierdzała fałsz, że „Nałęczów dla tych, co chcą się bawić“. Z tym kierunkiem „zabawnym“ walczyć musieli ci, którym chodziło o chorych prawdziwych i środki lecznicze. Dysonans ten trwał całe lata, przechylając się to w jedną, to w drugą stronę i stan nasz psychiczny społeczny doskonale decyfrując. Mianowicie — tak zwana inteligencja popierała Nałęczów o tyle, o ile jej było w nim wesoło i o ile mogła w jego szykownych urządzeniach zapomnieć o własnem ubóstwie... pomysłem. Gdy bywało gorzej z frekwencyą gości lepszych i pożądaniszych, poczynają się do niego gwałtowniej cisnąć szczury, lubiące takie rudery przedmiejskie. Zakład Nałęczowski miał swoje gorączki i swoje ewolucje, wrzał życiem, miał szeroki rozgłos i świetny pozór, który ścigał publiczność strojną i gwarną, to znów milkł uroczyście i przemieniał się w poważne surowe

sanatorium, to znów pomnażał kosztowne środki lecznicze i obfitość pomocy lekarskich dla bogatych cierpiących, to zagłębiał się w medycynę nie tyle ubogich, co szarego „wiślanego“ życia i tworzył piękne rzeczy społeczne. Do takich zaliczyć należy starania w kierunku uprzyśtępnienia pobytu w zakładzie i kuracyi najuboższemu, stworzenie tanich porad dla ludu, dążenia do podniesienia pod względem zdrowotnym okolicy i podniesienia moralnej wartości uzdrowiska przez wytworzenie w nim atmosfery kulturalnej, ciepłej, niezaczadzonej. Ewolucja taka nie mogła się — oczywiście — obyć bez ścierania się indywidualizmów ludzkich, pojęć i idealów, bez walki jednym słowem, w której wyczerpywały się ciała, męczyły się dusze i tak uznojone. Wiemy, co to znaczy u nas robić coś społecznego, a przez uzdrowisko nałęczowskie filtrowała się znojna praca kulturalna i inicjatywa społeczna w dni najstraszniejszej smętnicy. Położyli się więc do mogił dwaj pierwsi założyciele — Chmielewski i Nowicki — w gaju zacisznym cmentarza w Bochothnicy, a trzeci Lasocki, dziś już sędziwy i spracowany, poza zakładem już dalej prowadzi swoje dawne „poczynania dla tej ziemi“.

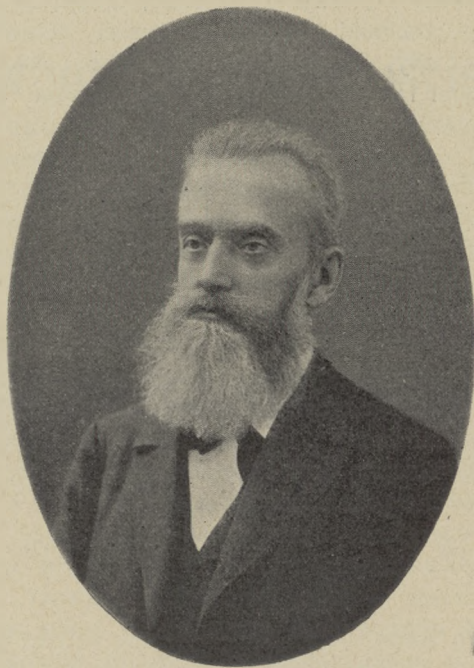
Prawa, uczciwa chęć stworzenia placówki kulturze polskiej, miejsca zacisznego, serdecznego spoczynku dla wszystkich zmęczonych, spracowanych i podupadłych, których u nas tak niebrak, uzdrowiska nie tyle fizycznego, co mo-



Dr. WACŁAW LASOCKI.



ralnego, również znalazła wśród serc gorętszych oddźwięk szczery i żwawy. Nie przesadzę, gdy powiem, że Nałęczów zaczął przygarniać do siebie wszystko, co było lepszego w Koronie. Szczycić się począł sympatją i przyjaźnią pisarzy uczonych i artystów (Prus, Żeromski, Karłowicz, Andriolli), ekscytować młodsze sily lekarskie do zajmowanie następnie placówek starszych (d-rzy Puławski, Malewski, Gliński) wychowywać sobie własne chluby (znakomity botanik ś. p. dr. Kazimierz Sacewicz, młody artysta-architekt Jan Witkiewicz, znana działaczka i literatka ś. p. Faustyna Morzycka) dążyć wreszcie statecznie do jak najgłębszego kontaktu z życiem polskim. Taki jest wielki urok tego zakątka ziemi lubelskiej, tej umajonej zielenią drzew prastarych głębocznicy rzek Trypy i Bochotnicy, taki jakiś nastrój serdeczny i dobry z niej wieje, że ci nawet, co w niej stracili wszystko i nic im nie zostało nad mogiłki na cmentarzu, z rozkoszą i wzruszeniem prawdziwym zawsze do niego powracają nawet dla wypoczynku, nabrania ducha i sił. Zadumne zacisza alei lipowych parku, balsamiczne tchnienie lasów i licznych zagajników iglastych, półsenna smętница, mżąca złote pyły w słonecznej poświacie, koją duszę jakąś rzewną, niesłychaną kołysanką o tej, co „jest jak zdrowie“ i w której „wszędzie jest pięknie“ — utęsknionej duszy pielgrzyma polskiego. I nie chce się wtedy boleć i skarżyć, czuje się, że na pograniczu dużego cierpienia jest jakaś przetarta kreska, wiodąca wprost do przeciwieństwa — dziwnie słodkiej rozkoszy zapomnienia. Ludzie, którzy wypadkowo tylko zaznajamiali się z Nałęczowem, nie mogli go potem długo zapomnieć, zwali jego starego dyrektora w korespondencych „porankiem zimowym“, opiewali Nałęczów nietyle w sonetach, co w głębszych i lepszych wspomnieniach, oddawanych opinii publicznej. A iluż chorych przyjeżdżało i przyjeżdża tu po kilkanaście lat z rzędu, ilu ludzi przyjeżdżało tu po to tylko, aby tu umrzeć i tu być pochowanym (Andriolli między innymi), ilu nowych ludzi Nałęczów przyciąga. Należy zauważyć, że przeważnie siedlą się tutaj, nabywają grunta i wille kresowcy, emigranci, tułacze i emeryci z głębi Cesarstwa. Wybitne ciekawe typy między nimi — nie rzadkość. Któż z gości nałęczowskich nie pamięta bezrękiego powstańca, pysznego facecyonistę i opowiadacza, Gustawa Jasińskiego, milczącego odludka staruszka Bagieńskiego, uczestnika kampanii węgierskiej i jednego z najbliższych oficerów Bema, słynnego dowcipnisa i humorystę d-ra Gustawa Dolińskiego, „dziadzię“ Morzyckiego — białego jak



Dr. KONRAD CHMIELEWSKI.

mleko katorżnika, zawsze w wianku wnucząt, „babcię“ Żółtowską — starą zancą matronę, zawsze w okienku, dla wszystkich mile uśmiechniętą, dziwaka St. Radziwiłłowicza i tyle innych, którzy już poszli „na Bochotnicę“? Rysował i malował niektórych z nich Kostrzewski, a brał z ich opowiadań wątki do literatury cały szereg najwybitniejszych sił literackich t. zw. młodej Polski.

Ale wróćmy do zakładu. Już od pierwszych dni jego istnienia założyciele różnili się w poglądach na środki lecznicze. Nowicki największe nadzieje pokładał w wodach i kąpielach żelazistych, inni w zakładzie wodoleczniczym (hydroterapii), rozumując, że źródła nałęczowskie jako szczawa żelazista — zbliżona do Spa i Reinerz — nie mają tego pierwiastku przyciągającego tłumy, co źródła-szczawy alkaliczno-słone. Zwyciężyła w końcu hydroterapia z zakresem sanatoryjnym, gdyż do tego doprowadziło samo życie.

W zwiększaniu ilości środków leczniczych nie ustawano jednak. Z biegiem czasu przybyły kąpiele błotne podobne do francensbadzkich i krynickich, do których się świetnie dała użytkować lubelska borowina, kąpiele igliwiowe, mineralne sztuczne, świetlne, powietrzne, słoneczne, masaż i elektroterapia pod wszelką postacią, gimnastyka, leźalnie, kuracya dyetetyczna i t. d. Zakład oświetlono elektrycznością, skanalizowano, urządzono w nim wodociągi, wy-



gruzowano i podwyższono aleje, urządzono betonowe chodniki, zakryto gąszczem drzewnym (może zbyt intensywnie) od kurzu gościńca i wilgoci łąk nadrzecznych, wypiękniono park rzeczywiście pomysłową i trochę wyższego lotu pracą ogrodniczą. Brakuje jeszcze zakładowi wygodnej, dobrej szosy od stacji kolejowej, gdyż gliniaste „gościńce“ lubelskie przy zmianach pogody stają się parodią lokomocyi, brakuje podniesienia poziomu okolicy pod względem higienicznym (mokre łąki zalewne, pastwiska, zamknięcie przewiewu doliny), brakuje uporządkowania administracyjnego samego osiedla i jego ludzkiej kolonizacji. W tym kierunku zaczęło ostatnimi czasy z ogromnym powodzeniem pracować Towarzystwo Przyjaciół Nałęczowa, zainicjowane przez mecenasa Łypacewicza i pod jego energicznym przydyum pozostające. Towarzystwo między innymi skupuje perłę uroku Nałęczowa — jego malownicze wąwozy, aby z nich uczynić park przyszłości i ostoję przyrody w środku zabudowującego się środowiska ludzkiego. Jest to uczciwe wypełnienie testamentu Kaźmierzowego i Firlejowego przez drugie już pokolenie Nałęczowa odrodzonego. Oby ten renesans jak najdłużej chciał być systematycznym i metodycznym na tle naszego czynienia wszystkiego przez zapał, a nie przez system!

Z prac społecznych i kulturalnych nałęczowiaków na pierwszym miejscu musimy postawić „Tanie kąpiele im. Bolesława Prusa“, oddane do użytku publicznego dnia 14 paźdz. 1904 r. i ofiarowane na własność Lubelskiemu Oddziałowi Tow. Higienicznego. Ładny i zgrabny murywany budynek kąpielowy zbudowano na gruncie, ofiarowanym przez ś. p. Michała Górskiego, właściciela folwarku Nałęczowa, kosztem 2,600 rb., zebranych z ofiar prywatnych i dochodów

z zabaw w Zakładzie, przez d-ra A. Pułaskiego przy współudziale pp. Thiellego, Malewskich — ojca i syna, d-ra W. Lasockiego, B. Lilpopa i St. Śliwińskiego. Kąpiele te są otwarte dla mężczyzn w soboty, dla kobiet w piątki, cena kąpeli (natrysku lub wanny) wraz z mydłem i ręcznikiem wynosi 6 kop. od osoby dorosłej, 3 kop. od dziecka. Ilość wydanych kąpeli chwile się rocznie od 2000 do 3500. Więcej kąpie się mężczyzn, niż kobiet, ale nie należy tego rozumieć na niekorzyść płci pięknej, gdyż ona, w porządkach domowych częściej z wodą mając do czynienia, prędzej i częściej dokonywa w domu ablucyi, niż do ziemi tylko przywiązani mężowie i bracia. Utrzymanie kąpeli wraz z remontem i ulepszeniami wynosi przeciętnie 300 rb. na rok, dochód przeciętnie 150 rubli czyli deficyt roczny wynosi 150 rb., pokrywane z ofiar prywatnych i dochodów z zabaw w Zakładzie. Pożądanem oczywiście jest, aby chłop tamtejszy sam swoją łązienkę utrzymywał i od zabawy „letkiewiczów“ był niezależny. Może i do tego przyjdzie kiedy.

Rok 1905 targnął i Nałęczowem, tak jak poderwał z miejsca wszystkie zasiedziałe i mchem porośnięte kwalifikacje ludzkie. Nie ominęła i jego namiętność sejmikowa i niestrawność polityczna. Pod prastarym „cupłem“ słowiańskim zaczęły się tam wiece i miry, do których rzucono się z namiętnością literacką, oskoma wygnaćczą i twardością szlachecką.

Długo gotowało się buszliwe mleko w garnku nałęczowskim, znowu zadzwoniły rozterki, waśnie, krzywdy, obrazy, pomstowania braterskie i jazgot sąsiedzki swarliwy. Lecz wygotowało się z tego mleka oprócz pomyjek i wiele rzeczy zacnych, dobrych i prawych — jak to już zresztą zauważył Prus w jednym z listów z Nałęczowa.

D. N.

Leszczyc.

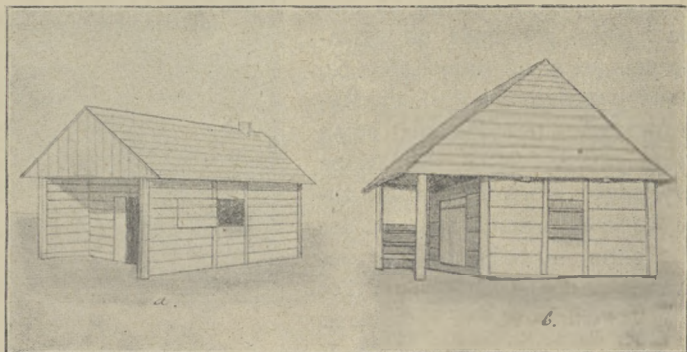




Budownictwo ludowe w okolicy Zamościa. ²⁾

Aby ostatecznie z chatą skończyć, pozostaje mi powiedzieć parę słów o jej zdobieniu. Chociaż lud tutejszy nosi piękne sukmany (znane warszawiakom z orkiestry Namysłowskiego), chociaż umie on pięknie wyszywać koszule i gorsety, to jednak siedzi swoich nie zdobije zupełnie. Jeśli wyłączyć owe malowanie ocapów, o którym już się mówiło, to pozostanie jeszcze tylko wspomnieć o zwyczaju mieszkańców Kossobud i Wólki Wieprzeckiej, którzy przy malowaniu chat nie bielą ściąg wystających bierwion zrębu, co przy niebieskich ocapach okiennych i starannie wiązanych, czystych ścianach wygląda bardzo pięknie. Gdzieindziej nawet tak skromnego zdobienia nie spotykamy, boć zawieszania wianuszków nad oknem i zatykania łopianu z bylicą w okapy strzech, jako wywołanego przesądem i ściśle związanego z kultem religijnym ludu, nie można uważać za chęć przystrojenia chaty. Nieco częściej spotykamy zdobienie w zakresie rzeźby, a mianowicie ganek bywa nieraz pięknie przybrany u czoła wycinanymi listwami i rodzajami szparogów na szczycie (Jarosławiec). Zresztą żadnych wycinanych ocapów u drzwi i okien, żadnych pazdurów lub szparogów na szczycie dachu i żadnych wzorzystych malowań na ścianie lub oknach. Prawda! widziałem jeden biały komin w Wólce Łabuńskiej i parę białych okiennych ocapów w Wielączy, upstrzonych niebieskimi kótkami, kropkami i krzyżykami.

Chata zamojska, tak to już wspominałem, może być zwrócona do drogi zarówno licem, jak szczytem; to ostatnie położenie częściej spotyka się na zachodzie. Przed chatą, choć nie wszędzie, znajduje się ogródek z malwą, makiem, nagietkiem lub słonecznikiem; w ogrodzie przy domu częstokroć kilka pni pasieki. Obejście ogrodzone jest prawie zawsze płotem plecionym z chróstu lub ułożonym z desek, z którego nazewnątrz lice chaty tylko czasem wystaje; najczęściej jest ono całkowicie umieszczone wewnątrz ogrodzenia. W niektórych wsiach, jak Kossobudy i Wola Wieprzecka, spotykałem wielkie drewniane wrota nakryte daszkiem i wprawione w płot; według Mokłowskiego określają one przeobrażenie zwykłej chaty w zagrodową najczystszej typu; tutaj jednak zdarzają



3. KUŹNIE Z OKOLIC ZAMOŚCIA:

a) W WIEPRZCU, b) NA PRZEDMIEŚCIU LUBELSKIM.

Rys. K. Ruski.

się bardzo rzadko. Poza ogrodzeniem stoją budynki gospodarskie, bardzo pospolitego typu, o których w pobieżnym szkicu mówić nie warto. Na szczególną uwagę zasługują tylko stodoły, raz dlatego, że strzecha ich tworzy bardzo często rodzaj wzniesienia nad wrotami, wspartego na podniesionych kotwicach, a powtórze dlatego, że w niektórych okolicach, zamiast stodoł drewnianych, widzimy plecione z chróstu. Taką stodołę powszechnie uważają badacze za pozostałość dawnych czasów, kiedy to człowiek sam w podobnym „koszu“ mieszkał. Są one, jak za Gluźńskiego, „z łoziny czyli chróstu w słupy umocowane“ i były dawniej szeroko rozpowszechnione; obecnie widziałem je tylko na wschodzie w kilku wsiach pod Komarowem (Cześniaki, Śniatycze), a wiadomo mi, że i w Zubowicach, między Komarowem a Tyśzowcami, podobne stodoły istnieją. Należy podkreślić związek między nimi a krajobrazem, który w tych okolicach jest prawie bezleśny i stanowi niejako przejście do czarnoziemnych stepów Nadbuża.

Powiedziałem uprzednio, że w okolicach, przezemnie zwiedzanych, nigdzie nie spotkałem chaty z wejściem od szczytu, to jest chaty powszechnie uznanej za pierwotną, a której najprostszym przykładem jest jednoizbowa kłeta. Kłeta — to poprostu czworokątna izba, nakryta dachem, nieco wystającym nad ścianą wejściową i tworzącym rodzaj podsienia, zwanego przyzbą; przyzba opiera się albo na wypuszczonych ze ścian rysiach, albo na wbitych w ziemię słupach. Ponieważ zaś ważne są wszelkie szczegóły, dotyczące rozprzestrzenienia i postaci tego typu, podaję więc niżej szereg po-



dobisz budynków, które doskonale go przechowały. Są nie-
mi liczne kuźnie całego oma-
wianego obszaru; kuźnie te za-
wsze składają się z izby i pod-
cienia, opartego bądź na słu-
pach (*fig. 3b*), bądź na wysta-
jących ze ścian dylach (*fig. 6*),
bądź wreszcie na deskach, sta-
nowiących przedłużenie ścian
(*fig. 3a*). W ścianie jest zawsze
wyróżnione pierwotne okno, za-
mknięte drewnianą zasuwą; ta-
kie okna musiały posiadać da-
wna chałupa chłopska. Tylko
wyjątkowo w kuźni z Ruskiego
widzimy rodzaj okiennicy obra-
canej na zawiasach. Kuźnia ta



4. DOMY DREWNIANE W JÓZEFOWIE.

rys. K. Ruski.

zasługuje zresztą i pod innym względem na uwagę, posiada bowiem wysunięcie dolnych belek, które odpowiada niejako wystającemu okapowi i upodabnia cały budynek do sań na drewnianych płozach (*porówn. fig. 6*). Obok licznych kuźni zasługują jeszcze na uwagę, jako ciekawe zabytki budownictwa ludowego, karczma w Lipsku i chata podcieniowa w Dubie. Obie one posiadają narożne podcienia, wsparte na paru słupach. Mówię „narożne“, gdy tylko połowa przyzby jest oparta na słupach, drugą zamknięto ścianami i zamieniono w chlew lub skład. Chata dubiecka przypomina znaną z Kolberga chatę kujawską, z tą jednak zasadniczą różnicą, że podcienie oparte jest nie na jednym, lecz na dwóch słupach.

Jak nieć do kłębka, prowadzą nas oba te domy podcieniowe do swej braci miejskiej, do domów podcieniowych Krasnobrodu, Józefowa (*fig. 4*), Tyszowiec, Tomaszowa (*fig. 5*) i Nowej Osady pod Zamościem. Wszystkie te miasta posiadają ich jeszcze bardzo

wiele, a całe połacie rynków Józefowa i Nowej Osady są nimi zabudowane. Owe domy podcieniowe nie mogą się jednak równać z temi, jakie podał Łopaciński z blizkiego Goraja: niema tu ani tak pięknych słupów, ani tak ozdobnie wycinanych odrzwi. Ze wszystkich, które spotkałem, najozdobniejszym jest budynek piętrowy w Józefowie; jego podcieniowe łuki zdradzają obce wzory. Zato dachy domów podcieniowych i wogóle drewnianych z miast okolicznych przedstawiają niezmierne bogactwo kształtów. Spotykamy tu prawie wszystkie dachy polskie, począwszy od zwykłych, zupełnie ściętych w szczycie (dom drugi w rzędzie *fig. 4*) lub ozdobionych małym szczytem dymnikowym w węższej połaci (*fig. 5*), a skończywszy na barokowych mansardach (pierwszy z rzędu na *fig. 5*) i najprzeróżniejszych facyatach. Szczególnie piękny jest dach facyatowy bóżnicy hasydów w Krasnobrodzie. Zaznaczywszy jeszcze, że przejdźmy podcienia tutejsze zawsze mają pięć słupów,

teraz do kwestyi powstania domów podcieniowych. Nie tu miejsce szczegółowo omawiać przypuszczenia Mokłowskiego i Puszcza, dotyczące tej sprawy; pomijając więc całkowicie dziwną teorią pierwszego i odsyłając ciekawych do prac odnośnych¹⁾, zaznaczę tylko, że najprawdopodobniej dom podcienio-



5. DOMY PODCENIOWE W TOMASZOWIE

fol. K. Ruski.

¹⁾ Obacz prócz „Sztuki ludowej“ Mokłowskiego i „Chaty“ L. Puszcza osobne rozprawy poświęcone temu przedmiotowi w „Sprawozdaniach komisji do badania hist. sztuki“



wy pierwotnie był pozbawiony podcienia i powstał przez zrośnięcie dwu chat zagrodowych lub przyrośnięcie sieni wzdłużnej do jednej takiej chaty. Kto zna miasteczka nasze i wie, jak często pomiędzy domami, stojącymi szczy-

kości człowieka dorastające, lecz zato ozdobione na końcach wszystkich ramion, trzema żelaznymi krzyżykami; na zachodzie krzyż jest ogromny i często dźwiga na sobie Bożą Mękę, przykrytą blaszanym okapem. Dookoła niego



fol. K. Ruski.

6 KUZNIA W RUSKIEM.

tem do drogi, tworzą się wązkie przejścia, ten zrozumie łatwość, z jaką przez nakrycie obu domów sąsiednich i owego przejścia wspólnym dachem, może powstać wielki złożony dom z sienią pośrodku, lub przez zamknięcie tego przejścia ścianami i nakrycie wspólne z jednym tylko domem, — drugi typ, bardziej prosty, z sienią bliżej brzegu. Ponieważ zaś dawniej ruch małomiasteczkowy był znacznie od dzisiejszego większy, ponieważ dalej cały targ odbywał się przed domem, jak to zresztą i dziś się dzieje, więc z konieczności u domów miejskich wytworzyły się naprzód wystające okapy, a później słupami podparte podcienia. Że zaś zrastanie domów wogóle nie jest wcale zjawiskiem rzadkiem, niech pokaże choćby dom z Nowej Osady, którego podwójna sień świadczy o zestawieniu z dwóch oddzielnych budynków (fig. 8).

Poznaliśmy więc siedziby człowieka, poznamy teraz siedziby jego Świętych i Boga. Zanim jednak rozpoczniemy przegląd cerkwi, kościołów i kaplic, poświęćmy choć kilka chwil krzyżom i świętom przydrożnym. Krzyże nie są tu wszędzie jednakie: na wschodzie w okolicy Cześniak, spotykamy niskie, ledwie wyso-

częstokroć widzimy obejście czworokątne, słupkami ogrodzone, z wrotczym i malwą, a od ramion jego wyskoki ku słupkom narożnym ogrodzenia zwisają lekkimi łuki długie wisiory nanizanych liści; nieraz splatają się one wzajem nakształt węży lub oplatają krzyż niby zwojami bluszczu. Piękny ten zwyczaj jest bardzo rozpowszechniony w okolicy Ruskiego i Krynicy, a szczególnie w okolicy Zwierzyńca; girlandy zawieszają w czasie święcenia pól, a więc przez całą wiosnę. Jeszcze piękniej, jeszcze pierwotniej wyglądają krzyże z pod Jarosławca i Majdan; nie zawieszają ich tu liśćmi, lecz stawiają między cztery olbrzymie srebrnolistne wierzby; cztery olbrzymie pnie otaczają wysokikrzyż, którego ramiona giną wśród zieleni. Szerokie rozpowszechnienie tego zwyczaju w całej



fol. K. Ruski.

7. KAPLICZKA POD GÓRECKIEM KOŚCIELNEM.

VII, str. CCCXXIV (referat Mokłowski) i str. CCCXLIV (uwagi Puszcza).



8. DOM W NOWEJ OSADZIE POD ZAMOŚCIEM.

Jot. K. Ruski.

Polsce przemawia za tem, że pochodzi on z czasów bardzo dawnych.

Obok krzyży spotykamy w tych stro-

nach bardzo wiele figur przydrożnych. Wszystkie one, z małemi wyjątkami, są polskie, noszą datę 1905 — 1907 roku oraz nazwisko chłopa-założyciela i nie przedstawiają nic ciekawego. W kilku starszych (np. pod Cześnikami, w Niewiarowie i indziej) znajdują się dość ciekawe drewniane posązki, wyobrażające najczęściej siedzącą nagą postać zapewne Chrystusa, z której tylko tułów bez głowy pozostał. Na szczególną uwagę zasługuje stara polska figura z pod Komarowa, na której po obu stronach niszy wymalowano czerwoną barwą słońce i księżyc, a na bocznych ścianach po jednej gwieździe. Ciekawe są także dwie kapliczki z Górecka kościelnego i z pod Józefowa. Pierwsza zawiera posązek Chrystusa (*fig. 7*) i nosi napis: „Jezu miłosierny zmiłuj się nad nami. Pamiątka Stanisława Rozalii Gaia R. 1863“.

D. N.

Kazimierz Ruski.



Kościół Wniebowzięcia N. M. P. w Lublinie.

Przed dwoma laty kraj cały obchodził 500 lecie grunwaldzkiego zwycięstwa.

Owoce owego zwycięstwa wydarły nam czasy późniejsze, mniej przychylne. Pozostały jedynie pamiątki. Ale i owe pamiątki nie są czczem jedynie wspomnieniem: podnoszą one umysł do wielkich chwil dziejowych, zagrzewają serca do czynów, godnych naszej przeszłości. Znane więc być powinny i uszanowane.

Niezależnie od tego są one świadkami cywilizacji naszych przodków zdobią kraj i dają świadectwo o rozwoju sztuki u nas w czasach minionych.

To są przyczyny, nie mniej poważne, przemawiające za znajomością tych pamiątek czy pomników.

Do takich drogich sercu polskiemu pamiątek należy Kościół Wniebowzięcia N. Maryi Panny w Lublinie, zbudowany przez Władysława Jagiełłę na podziękowanie Panu Zastępów za odniesione nad krzyżakami zwycięstwo. Budowa świątyni trwała od r. 1412—1426. Obok

świątyni powstaje duży gmach klasztorny, w którym pobożny król osadza zakon Ś-tej Brygitty, tej świętej, która na lat kilkadziesiąt już przedtem przepowiedziała zwycięstwo.

Gmach klasztorny ulegał parokrotnemu przebudowaniu. W tej postaci, w jakiej znajduje się obecnie, zbudowany został dopiero w drugiej ćwierci XVII wieku. Natomiast kościół pozostał w dawnym swym kształcie po dzień dzisiejszy, — przy częściowych tylko uzupełnieniach.

Interesujących się szczegółowemi dziejami tego kościoła, sprowadzenia zakonu Św. Brygitty i dziejami klasztoru, odsyłamy do pomnikowej, a źródłowej pracy X. A. Wadowskiego, historyka „Kościółów Lubelskich“ (wydanie Akademii Umiejętności w Krakowie). Dla szerszego ogółu podamy tu kilka wiadomości najważniejszych, zaczerpniętych z wymienionego dzieła.

Zakon Św. Brygitty, księżniczki szwedzkiej, powstał pierwotnie w Szwecji, w połowie



XIV stulecia. Od początku swego istnienia posiadał braci i siostry, zakonników i zakonnice. W klasztorze obowiązywał komplet taki, ażeby chwała Boska bezustannie w kościele odbywać się mogła, do czego wymaganem było 75 osób. Trudno też było na razie skompletować to zgromadzenie, tem więcej, że krzyżacy swemi intrygami trudność tę jeszcze potęgowali. Ani ze Szwecyi, ani z Włoch, ani z Francyi nie udało się sprowadzić zakonników. W końcu król Władysław musiał z konieczności zapelnąć klasztor zakonnikami niemieckimi z Gdańska.

Niemcy też w klasztorze lubelskim panowali przez całe dziesiątki lat — dopiero w drugiej połowie XV wieku żywił miejscowy przewać zaczął, a pierwszym, do godności przeora wyniesionym tu polakiem, był Marcin z Karniowic (1471—1473 r.).

Klasztor posiadał liczne nadania. Należały doń wsie: Leśce, Minkowice i Czerniejów wszystkie w okolicy Lublina, w promieniu paromilowym od miasta. Bogate dary króla i możnych wzbogacały skarbiec. Z tych bogactw jednak do dni naszych nie wiele pozostało. Pierwsi zakonnicy niemcy, uważali się za filię klasztoru gdańskiego, i najcenniejsze przedmioty odsyłali do swej gdańskiej świątyni matrix; później nabyte kosztowności uległy rabunkowi w czasie najazdów szwedzkich i kozackich (1655). Jednakże zabiegami kilku dzielniejszych przełożonych klasztoru, które, — po usunięciu stąd braci za panowania Zygmunta III, — niepodzielnie rządziły klasztorem, zgromadzenie nie upadło. Zajmując się kształceniem córek zamożniejszych rodzin, oddało krajowi niemałe przysługi.

Zakon brygitek uległ kasacie w początku minionego stulecia, a nowicyat panien został zamknięty. Zgromadzenie zmniejszało się stopniowo. W r. 1832 było już tylko 8 zakonnice. Klasztor przeto oddano Zgromadzeniu Wizytek, którym jeszcze w roku 1809 zabrano klasztor na lazaret wojskowy.

Wizytki miały w posiadaniu ten sam klasztor do r. 1882, w którym to roku przeniesiono je do klasztoru warszawskiego. Podobnie, jak ich poprzedniczki, zajmowały się one kształceniem panien, dopokąd nowe przepisy edukacyjne (1860—1866) nie odebrały im tego prawa. Po usunięciu ich z Lublina klasztor przeszedł w posiadanie rządu, który część budowli oddał duchowieństwu prawosławnemu, część zaś obrócił na internat miejscowego gimnazjum.

Wnętrze klasztoru w ostatnich czasach uległo przeróbkom, odpowiednio do nowego jego przeznaczenia. Kościół tylko pozostał w da-



fot. M. Wisznicki.

KOŚCIÓŁ WNIEBOWZWIĘCIA N. M. P.
W LUBLINIE OD UL. KAPUCYŃSKIEJ.

wnej swej postaci. Zbudowany w stylu gotyku miejscowego, z pięknym, w harmonijne linie ujętym frontonem, jest jedną z ozdób miasta. Zasługują na uwagę w kościele starożytne stalle, z malowidłami, przedstawiającymi sceny z życia Ś-tej Brygitty, oraz cuda, za jej przyczynieniem się dokonane; piękne rzeźbione drzwi do zakrystyi, malowidła średniowieczne po bokach ławek na kościele, obraz Św. Brygitty, malowidła ścienne (freski) na murze, ponad sklepieniem dzisiejszem, — niżej pierwotnego sklepienia obsadzonem, wreszcie starożytne dzwony. W wieży kościelnej, tworzącej dzwonnice, pozostały dotąd widoczne od strony wewnętrznej lunety i strzelnice, skierowane ku dołowi, widocznie ku obronie murów kościoła.

Występy w ścianach szczytowych niektórych części budowli klasztornych świadczą, że szczyty ich były zharmonizowane z frontonem kościoła, podzielonego na szereg nisz, oddzielonych od siebie lekkimi i wysmukłymi występami, kształtnie zakończonymi w górze.

Oprócz kopuły nad dzwonnice, wznosi się tu druga lekka i wysmukła, nad dachem kościoła. Ta ostatnia ma wyciśnięte w pokrywającej ją blasze lata: od strony północnej 1755, — od strony południowej 1907. Pierwsza z tych dat może być rokiem budowy lub odnowienia kopuły — druga ostatniej restauracyi.

Cały kościół, odnowiony wewnątrz i zewnątrz, utrzymany starannie, miłe czyni wrażenie. Posiada 2 nawy: główną i boczną, nieco węższą od głównej — a poza nią jeszcze podłużną przybudówkę, tem szczególną, że nakrywa ją półsklepienie, górnym końcem łuku do-



tykające ściany zewnętrznej przybudówki. Ponad tą przybudówką jest korytarz idący poza ścianą nawy bocznej. Niegdyś łączył on chór kościelny z klasztorem. Po zabraniu klasztoru na rzecz rządu, komunikacja ta została zamurowaną, a korytarz przy kościele zużytkowany na skład szczątków dawnych ołtarzy, rzeźb i usuniętych z kościoła ozdób.

Przed niedawnym czasem dawniejsze ołtarze zastąpiono nowymi, o wysmukłych gotyckich kształtach, niezupełnie licujących z liniami murów kościelnych. Usunięte dla nich ołtarze dawniejsze również były późniejszego już pochodzenia, przeniesione z dawnego kościoła pp. wizy-

tek, gdy stare ołtarze, jakie pozostały po pp. brygitykach, przeniesiono do klasztoru oo. dominikanów w Lublinie i umieszczono w jego korytarzach.

W 500-letnią rocznicę bitwy grunwaldzkiej, ku upamiętnieniu której powstał kościół, kółko ludzi dobrej woli postanowiło wmurować tu tablicę, z napisem, przypominającym współczesnemu pokoleniu i wielkie zwycięstwo i budowę świątyni.

W roku obecnym, staraniem rektora kościoła X. Władzińskiego, cały ten fronton i ściany zewnętrzne kościoła odrestaurowano gruntownie. Wnętrze kościoła odrestaurowano już przedtem.

H. Wiercieński



KILKA UWAG DO ART. J. SMOLIŃSKIEGO „KARAIMI I ICH ŚWIĄTYNIA W ŁUCKU”.

Karaitów można uważać za przedstawicieli jedynej po dziś dzień istniejącej sekty żydowskiej w ścisłym tego słowa znaczeniu. Samarytanie bowiem, którzy pierwsi się odłączyli od ogółu narodu żydowskiego w w. V prz. Chr., a których szczątki w liczbie dwustu kilkudziesięciu dusz zamieszkują obecnie miasto Nablus w Palestynie, są raczej potomkami odrębnego szczepu, a mianowicie państwa dziesięciu pokoleń, czyli państwa izraelskiego, aniżeli sekciarzami. Faryzeusze znowu i saduceusze, którzy istnieli w epoce drugiej świątyni, byli przedstawicielami stronnictwa demokratycznego i arystokratyczno-kapłańskiego, jakie z natury rzeczy istnieją w każdym narodzie, i również sekciarzami nazywani być nie mogą. Kompletną schyzmę utworzyli dopiero karaici w drugiej połowie w. VIII pod wodzą Anana syna Dawida z Bagdadu, wypisując na swoim sztandarze samoistne badania Pisma św. i odrzucenie tradycji talmudycznej. Ale hasło to pozostało tylko teorią, bo w życiu praktycznym trudno przejść nad rozwojem wielotysiącletnim do porządku dziennego, i Anan był zmuszony stworzyć także pewien rodzaj talmudu, jak to widać z odnalezionych w ostatnich czasach fragmentów jego

„Księgi przykazań“ (Sefer ha-Micwoth), które zostały opublikowane przez Harkavy'ego, Schechtera i piszącego te słowa. Zwolennicy Anana mianowali się z początku Ananitami i dopiero w w. IX przyjmują nazwę „Karaim“ lub „Bne Mikra“ od hebrajskiego (a nie arabskiego, jak pisze p. Smoliński) „Kra“ czyli „Mikra“, t.j. Pismo, a więc wyznawcy Pisma „Karaimi“ jest to l. m. od „Karai“, karaita, prawidłowiej przeto byłoby mówić po polsku karaici a nie karaimi, ale ostatnia ta forma napotyka się już w przytoczonym przez p. S. przywileju Władysława IV z r. 1646.

Karaici prowadzili z początku usilną propagandę i wnet się rozpowszechnili w Babilonii, Persyi, Egipcie i Palestynie, a później i w Hiszpanii. Epoka ich rozkwitu to w. X—XI, kiedy mieli wybitnych autorów i myślicieli, piszących przeważnie po arabsku. Ze wschodu zjawili się i w Bizancyi, zwłaszcza w Konstantynopolu, u schyłku w. XI i w w. XII i rozwinęli tu działalność autorską. Żył tu między innymi Jehuda Hadassi, który w swoim dziele *Eszkol ha-Kofer*, napisanym w r. 1148 (wydanym w Eupatoryi 1836) pierwszy sformułował 10 artykułów wiary, przytoczonych przez p. S.



Niedokładnie atoli mówi p. S. w innym miejscu, że karaici nie mają, jak żydzi, w swoich dogmatach niechęci ku innym plemionom, boć nie mają jej i rabanici, i o ile jakiegokolwiek dogmaty wpływają z Pisma św. to obowiązują one w jednakowej mierze i rabanitów i karaitów.

Kiedy i skąd przybyli karaici do Krymu — niewiadomo. Najstarsze historycznie, uwierzytelnione ślady ich tu pobytu datują od w. XIII; przybyli oni prawdopodobnie ze wschodu przez Kaukaz, a niektórzy może i z Bizancyjum. Przyjęli oni tu zwyczaję i mowę tatarską, a życie umysłowe i literackie zaczyna się u nich względnie późno. Do Polski zostali przesiedleni przez Witolda w wieku XV i zamieszkali tu głównie w Trokach, dalej w Łucku, Poniewieżu, Lwowie i t. d. Krym stanowi i dotąd główne miejsce ich pobytu, jak to wykazuje statystyka z r. 1897, umieszczona w pierwszym zeszycie wychodzącego od czerwca 1911 r. w Moskwie miesięcznika „Karaimskaja Żiźń“. W owym to roku było ich wszystkich w państwie rosyjskiem 12,894 (6372 płci męskiej i 6522 żeńskiej), z czego przypadło na gub. taurydzką 6166, na gub. wileńską, kowieńską, witebską i wołyńską 1383, a na resztę obszaru Rosyi 5345. W ciągu ostatnich 13 lat liczba ta prawdopodobnie się jeszcze zmniejszyła, a w każdym razie nie zwiększyła, jak to wykazują elegijne tony korespondencji, z różnych stron nadsyłanych do tegoż miesięcznika. Ciekawym jest też np. wykaz statystyczny za rok 1910, umieszczony w tymże zeszycie czerwcowym, z którego wynika, że w ciągu tego roku urodziło się w chachamacie taurydzkim (ob. niżej) 151 (95 płci męskiej i 56 żeńskiej), a umarło 147 osób (93 m. i 54 ż.), a więc przybyło 4 dusze¹⁾. Jest to więc plemię gasnące i dlatego wszelką o nich wiadomość należy powitać z uznaniem. Takie uznanie należy się i p. S. za jego pouczającą rozprawę, umieszczoną w nr. 3—8 „Ziemi“ r. b., tylko że trzeba poczynić w niej rozmaite poprawki.

Naprzód opiera się p. S. w swoich wywodach historycznych głównie na badaniach Firkowicza, których tendencyjność i nieprawdopodobieństwo zostały od dawna ustalone przez uczonych judaistów pierwszorzędnej wagi (Zunz, Loew, Derenbourg, Steinschneider i t. d.). Wszystkie rezultaty jego badań stoją w zupełnej sprzeczności z całym rozwojem historii żydow-

skiej, historii Krymu i t. p. Tak np. przytoczona i przez p. S. opowieść o osiedleniu karaitów w Krymie przez Kambyzesa, króla perskiego, za usługi mu okazane w wojnie z Talmyrą, królową Scytów (jest to Tomyris u Herodota), chociażby już dlatego jest niemożliwa, że Krym nigdy nie należał do Persów i że karaici nie istnieli przed w. VIII. Firkowicz opiera się na rozmaitych epigrafach i napisach na nagrobkach krymskich, ale te są po części przez niego sfałdowane, a po części interpolowane lub przeinaczone, jak to wykazał nietylko Harkaoy w podstawowym swoim dziele „Altjüdische Denkmäler in der Krim“ (Petersburg 1876), ale i inni wymienieni wyżej uczeni. Lecz jest to psychologia wszystkich sekt, że usiłują wykazać, iż nie one się odszczepiły od ogółu, ale że stanowią jądro narodu, że one jedynie zachowały tradycję w czystości i że reszta narodu weszła na manowce i od prawdy się oddaliła. Taką teorię skonstruowali i karaici, poczynawszy od Kirkisani'ego, autora w. X, wciąż ją rozwijając i upiększając. Twierdzą oni, że schyzma się zaczęła od śmierci Salomona, że oni są potomkami prawowiernych synów Izraela, rabanici zaś hołdowali przewrotnościom Jeroboama i od czystej wiary odbiegli. Co się tyczy związku z saduceuszami, którzy żyli w epoce drugiej świątyni, to pierwsi karaici się do niego przyznają i utrzymują że Cadok, od którego owa sekta nazwę swoją otrzymała, odkrył część prawdy i że Anan całą ją odstąpił, ale późniejsi karaici wyrzekają się wszelkiego z nimi związku, głównie dla tego, że saduceusze, jak to wiemy z Flawjusza Józefa i z Ewangeliów, nie wierzyli w dogmat resurrekcyi, i przytoczony przez p. S. autor XVIII w., Simcha Izaak z Łucka, pierwszy zbudował nową teorię, mianowicie że istnieli oddawna „cadikim“ t. j. sprawiedliwi, pobożni, od których karaici się wywodzą, i że później dopiero zmieszano ich z „cadukim“, t. j. saduceuszami (p. S. trzyma się wadliwej transkrypcyi karaickiej „Czoddikin“ i „Czudekin“). Teorię pokrewieństwa duchowego pomiędzy saduceuszami a karaitami rozwinął z bardzo bogatym aparatem naukowym uczonego wieku zeszłego Geiger i postawił nawet hipotezę, że zostały i cielesne szczątki saduceuszków, które jakby drzemały w ciągu wieków, aż przyszedł Anan w w. VIII i je do życia na nowo obudził. Lecz o ile teoria Geigera ma wiek za sobą, to ostatnia jego hipoteza jest nieprawdopodobną, ale w każdym razie niema ona nic wspólnego z fantazyami późniejszych karaitów o istnieniu ich jako osobnej sekty już w zamierzchłej przeszłości.

¹⁾ Poza państwem rosyjskiem istnieją nieliczne gminy karaickie w Haliczu w Galicyi, w Konstantynopolu, Kairze, Jerozolimie, Hit (w Mezopotamii) może jeszcze tu i owdzie na wschodzie.



Dalej idzie p. S. w ślady Firkowicza, odnosząc rozmaite fakty z history Rosyi południowej i różne przywileje królów polskich do karaitów bez wszelkiej podstawy. Tak np. miał być Izaak Sangari (właściwie Singari), który jakoby nawrócił króla chazarów w w. VIII na judaizm, rzekomo karaitą i Firkowicz odkrył nawet jego nagrobek w Czufut-Kale. Ale całe istnienie owego Singari, o którym wsomina poraz pierwszy autor hiszpański w. XIII, Nachmanides, jest problematycznym, nie mówiąc już o tem, że w w. VIII karaizm dopiero się narodził. Ów nagrobek jest więc albo wprost sfałszowanym, albo odnosi się do innego Singariego. Razem z tym upada i drugie twierdzenie, że żydzi, którzy chcieli według Nestora nawrócić Włodzimierza św. na judaizm, byli karaitami. Błędem jest też, jak rzekliśmy, odniesienie do karaitów tych wszystkich przywilejów królów polskich i w. ks. litewskich, gdzie mowa o żydach wogóle, tak jak to czyni p. S. Odnoszą się do nich te tylko, w których karaici są wyraźnie wymienieni, jak np. wspomniany już przywilej Władysława IV z r. 1646, potwierdzony przez wielu królów późniejszych w rozmaitych czasach (przez Jana Kazimierza w r. 1654, przez Michała w roku 1670, Jana Sobieskiego w roku 1679 i Augusta II w r. 1701; ob. „Karaimskaja Żiźń“, lipiec 1911, str. 26). W pierwotnych zaś przywilejach nie odróżniano karaitów od rabanitów i w Trokach: nazwano wszystkich pospółem „judei trocenses“, „judei cives Nostri de Troki“ (ob. tamże). Dalej istnieje przywilej, wydany przez Jana Sobieskiego 15 września 1692 r. karaitom w Kuzkowie (opublikowany przez Bałabana w dodatku literackim do „Kuryera Lwowskiego“, nr. 10, maj 1910) i t. d. Jan Sobieski miał też na swoim dworze lekarza karaickiego, Ezdrasza Nisanowicza (t. j. syna Nisana, a nie Nizamowicza, jak pisze p. S.), zm. w r. 1666. Jest on bez wątpienia identyczny z Ezdraszen Harofe, t. j. lekarzem, mylnie odniesionym do czasów Jana Kazimierza.

Niedokładnemi są też wiadomości p. S. o rytuale karaickim i odnoszącej się do niego terminologii. Językiem rytuału był i jest wszędzie u karaitów, jak i u rabanitów, wyłącznie hebrajski (którego atoli nie znają lepiej od rabanitów, a naodwrot). Nie wydaje mi się zatem prawdopodobnem, aby go karaici łuccy zamienili na tatarski. O ile mi wiadomo, istnieje tylko zwyczaj, że duchowny recytuje w Dzień Odpuszczenia niektóre hymny pokutne, nie należące ściśle do składowej części modlitwy,— w języku tatarskim. Że karaici święcą sobotę i święto Paschy mniej surowo od rabanitów, nie od-

powiada również rzeczywistości. Specyalnie co się tyczy soboty, obchodzą ją karaici od dawna daleko surowiej od rabanitów, czyniąc tym ostatnim zarzuty, że wprowadzili niektóre ulgi. Tak zabraniali dawniejsi karaici nie tylko zapalać światła w sobotę, ale nawet mieć światło w mieszkaniu i pozostawali przeto w piątek wieczór w ciemności, i późniejsi dopiero karaici zrobili tu pewne ustępstwo. Wydaje mi się przeto niezrozumiałą wiadomość, jakoby według karaitów łuckich od czasu wprowadzenia zapalek, zapalanie świateł w piątek wieczór stało się nieobowiązującym. Terminologia odnosząca się do rytuału jest również hebrajska, za wyjątkiem nazwy synagogi „kenasa“, która wprawdzie pochodzi z hebrajskiego „Beth ha-Kneseth“ (prawie to samo co synagoga), ale ma formę arabską, a może też i tatarską. Ołtarz nazywa się Hechal (a nie Pechal), co oznacza po hebr. „przybytek“, a wywyższenie na środku synagogi nazywa się i u rabanitów Bima (a nie Bim) i jest również słowem hebrajskiem, a nie tatarskiem. Z tego wywyższenia czyta się z rodaków, który to zwyczaj późniejsi karaici przejęli od rabanitów (pierwsi karaici nie znali tego zwyczaju). Widziana zaś przez p. S. w synagodze karaickiej w Łucku Biblia niema nic wspólnego z karaizmem. Jest to znana edycja biblijna z tak zw. „literami niewypełnionemi“, t. j. gdzie litery posiłkowe, nie należące do pierwiastka (prae i suffixy), są dla odróżnienia niewypełnione. Wydawcą jej był uczony chrześcijański Elias Hutterus, który między innymi wydał polyglottę (t. j. Biblię z rozmaitemi tłumaczeniami w Norymberdze 1599—1601). Owa Biblia znalazła się przypadkowo w synagodze łuckiej, a wnioskować z niej, że karaici w swoim dawnym kulcie używali języka łacińskiego, jest co najmniej dziwnem. Wogóle jest to znamienne, że pomimo iż karaici opierają się głównie na Piśmie św., niema ani jednego karaickiego wydawnictwa Biblii, istnieje tylko ich wydania Pięcioksiąg z tłumaczeniem tureckiem (drukowanem czcionkami hebrajskimi), wydany w Konstantynopolu 1833 i Pięcioksiąg z 5 zwojami, wydany w Eupatoryi 1840. Karaici używają zwykle w szkole i synagodze wydawnictw rabanicznych, a nawet i chrześcijańskich.

Duchowni karaiccy nazywają się chachami od hebr. „chacham“, mędrzec, uczony, obecnie zaś chacham oznacza u karaitów państwa rosyjskiego nie tyle uczonego duchownego, ile oficjalnego przedstawiciela sekty. Karaici w Rosyi mają bowiem, jak wspomina i p. S., nadaną im przez rząd organizację, wedle której dzielą się na dwa zarządy duchowne



(duchownoje prawlenie), z których jeden ma swoją siedzibę w Eupatoryi, a drugi w Trokach. Na czele każdego zarządu stoi chacham, który jest osobą świecką. Ostatnim chachamem taurydzkim był zmarły 13 stycznia r. b. Samuel Pampułow, który jeszcze nie ma następcy, chachamat zaś trocki wakuje również od dłuższego czasu. Otóż karaici krymscy wymawiają *ch* na początku słowa jako *h*, skąd w transkrypcji rosyjskiej „gaham“. Pan S. przyjął tę transkrypcję i pisze mylnie gaham, a raz nawet bachan! Właściwi duchowni nazywają się „hazanami“ i są

jednocześnie rabinami i kantorami. Łuck należy do chachamatu trockiego.

W końcu nadmienię jeszcze, że Salomon syn Arona z Poswala pisał dwa dzieła o karyzmie. Jedno obszerniejsze p. t. „Apyrion“ (a nie Arhyrion) znajduje się w rękopisie w rozmaitych bibliotekach, mniejsze zaś, pisane na prośbę Pufendorf, nosi tytuł „Apyrion asah lo“ i zostało wydane przez Neubauera jako dodatek do jego dziełka „Aus der Petersburger Bibliothek“ (Lipsk 1866). Sądzę że Czacki miał w rękę to drugie dziełko.

Samuel Poznański.



Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



Dn. 1 maja odbyło się w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie miesięczne zebranie Towarzystwa w obecności trzystu kilkudziesięciu osób pod przewodnictwem prezesa K. Kulwiecia, który zdając sprawę z czynności

Zarządu, zakomunikował o rozpoczęciu prac we wszystkich komisjach.

Zamknięcie Wystawy „Krajobraz Polski“ w Łodzi nastąpiło dn. 8 maja.

Oddział lubelski zgłosił projekt przeniesienia jej w miesiącu czerwcu — do Lublina.

Nowych członków (w ciągu dwóch tygodni) przybyło na liście warszawskiej 55 (od początku roku — 330).

Piękny odczyt „O Kollataju“ z wielką erudycją opracowany, a gorąco oklaskiwany wygłosił mecenas Mieczysław Koczanowicz z Kielc, poczem p. Al. Janowski na szeregu obrazów niknących zilustrował pamiątki polskie z Padwy (jako dopełnienie do wygłoszonego przed kilku miesiącami na temat ten odczytu) i zapowiedział szereg wycieczek w ciągu maja.

oooooooo

Nowe książki.

Dr. Jerzy Smoleński, docent Uniwers. Jagiellońskiego. Krajobraz Polski. Wyd. I. Morikowicza 1912.

Jeżeli nauki przyrodnicze wogóle posiadają

w literaturze naszej nie wielką ilość dzieł traktujących przedmiot z jednej strony poważnie i źródłowo a z drugiej — dla szerszych kół czytelników — dostępnie, to dzieła geograficzne, mające cechy i naukowości i popularności, są u nas zjawiskiem fenomenalnym. Składają się na to przyczyny bardzo różnorodne—przedewszystkiem zaś bardzo powierzchowne przygotowanie przyrodznawcze naszego ogółu i lekceważące traktowanie przedmiotu tego w szkołach — a stąd mały popyt na dobrą książkę przyrodniczą lub geograficzną. Dzieło d-ra Jerzego Smoleńskiego — dziełem bowiem nazwać należy tę chociaż niewielką na objętość, lecz bardzo w treść brzemionną książkę — zjawia się na horyzoncie księgarskim jako gwiazdę pierwszej wody. Ująć bowiem na 98 stronicach druku tyle treści, zobrazować kraj nasz od szumiących fal Bałtyku po nagie turnie tatrzańskie i to nie w suchym opisie, lub łatwych zapożyczonych cytatach z mniej lub więcej głośnych autorów, lecz we własnych, głęboko przemyślanych i naukowo zanalizowanych koncepcjach geograficznych, dać genezę zasadniczych typów naszych krajobrazów — potrafił nasz młody uczonec z niepospolitą brawurą i artyzmem.

Głównym punktem widzenia autora jest — ewolucya, kolejne przeobrażenia, zachodzące na powierzchni naszej ziemi — przytem nie tylko w zakresie martwego jej podłoża, lecz i otulającej ją szaty roślinnej.

Szereg przemian, którym krajobraz kolejno podlega, stanowi dzieje jego życia. Krajobraz bowiem żyje: rodzi się, ma swą młodość, wiek dojrzały i starość. Znajduje wreszcie kres istnienia: to zrównanie powierzchni ziemi, zniesienie wypukłości, wypełnienie wklęsłości, cel do którego kształtostwórcze siły zewnętrzne statecznie dążą. Oto śmierć krajobrazu, kres ostateczny, do którego zbliża się sto-



pniewo. Ale dochodzi do niego rzadko. Drzemiące w podziemiu siły górotwórcze, ruchy skorupy ziemskiej wywołując, nie dopuszczają zazwyczaj do zupełnego zrównania, burzą śmiertelną równowagę i nowe życie w zamierającym krajobrazie budzą. Nowa rodzi się młodość. I nieraz w pewnym obszarze widzimy wśród kształtów sędziwych, chylących się ku kresowi istnienia, inne, młode, później wido- cznie powstałe, wskazujące na nową podniętę, która normalną kolej przemian zakłóciła i wywołała odmłodzenie krajobrazu. Rozwijając się dalej, wyprą one z czasem ginące formy dawne i w ich miejsce zawładną obszarem, aby same z kolei przejść wiek dojrzały i ku starości się pochylić.

Całą treść książki swej autor podzielił na następujące części:

- I. Brzegi Bałtyku i Pojezierze.
- II. Wielki niż polski.
- III. Wyżyna Małopolska.
- IV. Wyżyna Czarnomorska.
- V. Nizina Małopolska.
- VI. Karpaty.

Język piękny, wykład potoczny i jasny, wydanie i dobór ilustracji staranne. Wydawnictwo to, które ukazało się w druku w pierwszych dniach trwania wystawy „Krajobraz Polski“ w Warszawie, cieszyło się dużym popytem.

Uwaga. Cena rubli 2. — Czytelnikom naszym na żądanie wysyła za zaliczeniem pocztowym Administracja Wydawnictw Pol. Tow. Krajoznawczego (Aleje Jerozol. 29).

K K-ó.



Kronika krajoznawcza.

+ Prezes Oddziału P. Tow. Krajoznawczego w Jędrzejowie dr. Feliks Przyppowski donosi, że w jednym z podmiejskich ogrodów w Jędrzejowie

istnieje lipa (*Tilia ulmifolia*), wykazująca niezwykle własności. Lipa ta, podczas silnych mrozów opuszcza tak nisko jedną z gałęzi, że średniej wysokości człowiekowi sięga do kości licowych, podczas zaś dni upalnych z trudem dosięgnąć może tej gałęzi za pomocą laski. Wahanie od minimum opuszczenia, do maximum podniesienia wynosi jeden metr i kilkadziesiąt centymetrów.

Nie ulega wątpliwości, że w tem zjawisku biorą udział czynniki stojące w związku z temperaturą i stanem wilgotności powietrza z jednej strony, z drugiej zaś strony właściwa budowa tkanek drzewa. Na tak wielkie wahanie gałęzi wpływać może zamrażanie wody i topnienie lodu w pęknięciach znajdujących się w tej części pnia lipy, z której wychodzi gałąź.

Gdyby można było umieścić pod opuszczającą się i wznoszącą się gałęzią skalę, otrzymalibyśmy naturalny termohygroskop, a nawet może termohygrometr.

+ Według posiadanych przez władze duchowne rzymsko-katolickie materiałów statystycznych liczba katolików w Królestwie Polskiem w r. z. wynosiła:

W archidiecezyi warszawskiej 1,865,110; w diecezjach: lubelskiej 1,602,583, kujawsko - kaliskiej 1,461,147, kieleckiej 99,407, sandomierskiej 870,647, płockiej 814,385 i sejneńskiej 681,267.

Ogółem w r. z. w Królestwie było 8,294,546 katolików.

W roku 1905 katolików w siedmiu diecezjach Królestwa było:

W archidiecezyi warszawskiej 1,741,443; w diecezjach: lubelskiej 1,313,225, kujawsko - kaliskiej 1,292,364, kieleckiej 945,324, sandomierskiej 818,753, płockiej 782,056 i sejneńskiej 691,576.

Ogółem w Królestwie w roku 1905 było 7,584,741 katolików. Zatem w ciągu lat 1905 — 1912 liczba katolików powiększyła się o 709,805 osób.



TREŚĆ: M. K. — Pultusk (z 1 ryc.). *Leszczyc* — Nałęczów dzisiejszy i jego znaczenie (z 3 ryc.). *Kazimierz Ruski*—Budownictwo ludowe w okolicy Zamościa (z 5 ryc.) (c. d.). *H. Wiercieński*—Kościół Wniebowzięcia N. M. P. w Lublinie (z 1 ryc.). *Samuel Poznański* — Kilka uwag do art. „Karaimi i ich świątynia w Łucku. Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Nowe książki — Kronika krajoznawcza.

Winięte tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i tamał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.